

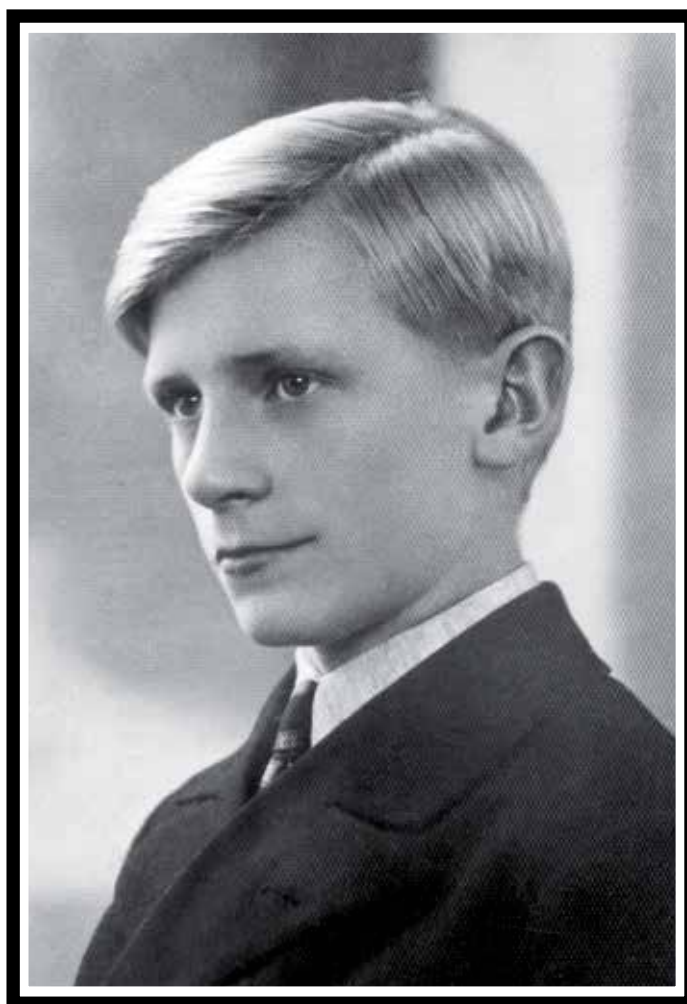
ISSN 1898-7729

SKAUT

HARCERSKIE PISMO HISTORYCZNE

K W A R T A L N I K

TARNÓW, NR 1 [32], MARZEC 2014 r.



Jan Roman Bytnar (1921–1943),
fot. z okresu egzaminu dojrzałości w 1939 r.

OD REDAKCJI

Opowieść Aleksandra Kamińskiego pt. *Kamienie na szaniec* została niedawno określona przez dr Elżbietę Janicką najbardziej mitotwórczą książką w polskiej historii. Autorka dopatrzyła się też w treści książki wątków homoseksualnych a nawet antysemitkich! Reżyser Robert Gliński realizując film „Kamienie na szaniec” postanowił, nie wiedząc czemu, „odbrązowić” postaci bohaterów, zmieniając fabułę i fakty, aby przypodobać się współczesnej młodzieży. Nawet w czasach PRL, pozytywny przykład postaw polskiej młodzieży w okresie niemieckiej okupacji, nie był tak szargany.

Recenzje filmu są różne i jest ich bardzo wiele. Hm. Janusz Krężel – piewca etosu „Zośki”, „Alka” i „Rudego” – napisał w liście do redakcji: *Jakże daleki jest ten obraz filmowy i cała jego osnowa od legendarnego dzieła „Kamyka”. Zabrakło w tym filmie trzech istotnych spraw: duszy, serca a przede wszystkim rzetelności w odtwarzaniu faktów – właściwie powstał jakiś amerykański western, gdzie musi być dużo strzelaniny i trupów. Zupełny brak odpowiedzi na zasadnicze pytanie: Skąd Ci chłopcy – harcerze Szarych Szeregów – brali Moc? Zniknęły piękne domy rodzinne, wspaniała szkoła i co nie mniej ważne – organizacja harcerska, nie mówiąc już o ideałach wiary w [ich] życiu (np. Jasna Góra w 1939 roku). Żadnego obrazu w filmie obrazującego te ważne zagadnienia w życiu człowieka... A gdzie ta wielka męska Przyjaźń tak pięknie udokumentowana w „Kamieniach na szaniec” przez autora?*

Analizując całą dotychczasową dyskusję o bohaterach *Kamieni na szaniec* i o filmie, można zauważyć, że jej uczestnicy, bez względu na wiek, kierowali się przede wszystkim własnymi emocjami, doświadczeniem życiowym lub przytaczali ogólnie znane fakty. Stąd wiele protestów i apeli. Nikt, lub prawie nikt, nie przytoczył tekstów napisanych przez Panią Zdzisławę Bytnar – matkę „Rudego”. Teksty te powstawały wiele lat po wydarzeniach pod Arsenalem. Były odpowiedzią na dziesiątki pytań zadawanych w trakcie wielu spotkań z powojennymi pokoleniami młodzieży, zafascynowanej bohaterami *Kamieni...*

W tym numerze „Skauta” zostały zamieszczone prawie wyłącznie teksty napisane przez Panią Bytnar. Można mieć nadzieję, że te bardzo osobiste w wielu fragmentach wspomnienia, pozwolą czytelnikowi uzupełnić wiedzę o bohaterach *Kamieni...* oraz o wydarzeniach jakie rozegrały się w ostatnich dniach marca 1943 roku. Mogą też pomóc w zrozumieniu słów: „Przyjaźń i Służba” – jakże inaczej odczuwanych w najtrudniejszych czasach niemieckiej okupacji a jak banalnie rozumianych przez niektórych dzisiaj. Teksty te, pisane po stracie męża i syna, nabierają szczególnego znaczenia w dniach, kiedy na ekrany wszedł film R. Glińskiego.

Zawarte w tych artykułach myśli Pani Bytnar, mogą także ułatwić czytelnikom oddzielenie zdrowych ziaren pszenicznych od plew językowych, filmowych i pseudonaukowego bełkotu. Kontrowersyjne opinie E. Janickiej wydają się być z tej perspektywy banalne, karykaturalne, relatywne a obraz R. Glińskiego po prostu nieprawdziwy! ■

M. Popiel



SKAUT. HARCERSKIE PISMO HISTORYCZNE

REDAKCJA:

Lesław Dall – Zakopane, Wiesław Kukła – Poznań,

Janusz Krężel – Mielec, Marian Miszczuk – Warszawa,

Marek Karpiński (grafika) – Tarnów,

Marek Popiel (red. naczelny, odpowiedzialny i wydawca).

33–100 Tarnów, ul. Krakowska 42/9, tel. 667 174 232

czasopismo.skaut@gmail.com www.skaut.okay.pl

SKAUT jest bezpłatnym harcerskim pismem niezależnym.

Wszelkie prawa zastrzeżone ©1996–2014.

Przedsięwzięcie o charakterze **non profit**.

Zdzisława Bytnar

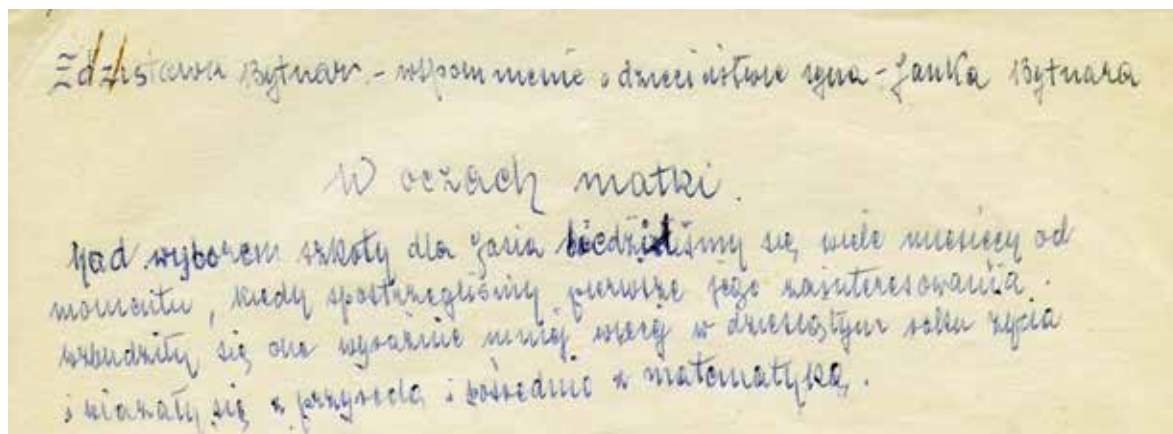
W OCZACH MATKI – WSPOMNIENIE Z DZIECIŃSTWA SYNA – JANKA BYTNARA

Nad wyborem szkoły dla Jasia biedziliśmy się przez wiele miesięcy od momentu, kiedy spostrzeżliśmy pierwsze jego zainteresowania. Rozbudziły się one wyraźnie mniej więcej w dziesiątym roku życia i wiązały się z przyrodą i pośrednio matematyką.

Po ukończeniu trzeciej klasy szkoły powszechnej w Piastowie pod Warszawą, przenieśliśmy Jasia z nowym rokiem do Warszawy, zgodnie z opinią wychowawcy, że Jaś przerasta poziomem ogół uczniów i należy go wcielić do zespołu silniejszego. Zapisany został do szkoły powszechnej nr 29 – na owe czasy przodującej – przy ul. Zagórnej 9 na Czerniakowie. Do nauczycieli odnosił się z wielkim szacunkiem. Nauczyciela przyrody p. Jankowskiego lubił nadzwyczaj. Pani Filipowiczowa, wychowawczyni klasy czwartej, poświęciła mu wiele uwagi, zaciekał ją ten chłopiec o rozwichrzonej czuprynie, pełen optymizmu i entuzjazmu, podejmujący ochoczo wiele dodatkowej pracy dla klasy. Ona też wytypowała go do gimnazjum.

Najlepsi uczniowie tej szkoły na Zagórnej, której kierownikiem był nauczyciel p. Wójcik, nieprzeciętny pedagog, kierowani byli do Gimnazjum im. Stefana Batorego. Ale dostać się tam można było jedynie synom „górných sfer” lub uczniom wybitnie zdolnym, zdającym konkursowe egzaminy.

Pokusiliśmy się, bo gimnazjum miało kierunek matematyczno-przyrodniczy, a w tych przedmiotach Jaś celował. Zapalił się do egzaminu. Trzeba podkreślić, że miał już wtedy zadatki odwagi cywilnej. Nie peszyły go pytania. Posiadał umiejętność niezwyklej koncentracji umysłowej i zastanawiające opanowanie. Stał do tej rozgrywki – imponowała mu tarcza z jedyką – pierwszego gimnazjum w Warszawie i egzamin się powiódł. Poszedł więc do I klasy gimnazjalnej. Jego prace domowe posiadały walory dokładnego przemyślenia i dokładnej analizy treści tematu. Z każdym ciekawym zadaniem, zagadnieniem i sposobem wykonania dzielił się z ro-



Fragment rękopisu Zdzisławy Bytnar



Danuta i Jan Bytnarowie

dzicami, dyskutował i poszerzał zagadnienie o jakiś szczegół wyczytany z książki, encyklopedii lub zinterpretowany przez domowników. Szkołę przenośli z wszystkimi jej walorami do domu, w ocenach lekcyjnych wyrażał wielki szacunek dla nauczycieli i był zawsze z najwyższym uznaniem dla ciężkiej ich pracy wychowawczej.

W jego życiu nauczyciele odegrali poważną rolę – każdy z nich wpływem swym poruszał w nim utajone załączki i wydobywał umiejętnie intelektualne bogactwo. Wypracowania polskie cechował zawsze jakiś rys uczuciowy, tkliwy, oryginalny styl – prof. Stanisław Młodożeniec – sam literat i poeta – był bardzo zadowolony za to osobiste ujmowanie tematyki. Prof. Gustaw Wuttke czynił zawsze zachwyty nad prowadzonym zeszytem z geografii, w którym były doskonale już wykresy, przemyślnie mapki i ilustracje poszukiwane po różnych czasopiśmiech. Zachował się też u niego zeszyt Jasia, uratowany z pożogi Powstania, który został mi jako jedyny skarb doręczony – przekazany został do muzeum w Kolbuszowej¹.

Kochał przeszłość Polski, rozczytywał się również w historii starożytnej. Pasjonowały go też mity

¹ Miejsca urodzenia Jasia – nazwano tam ulicę imieniem Janka Bytnara; [Dom w którym Jan R. Bytnar istnieje do tej pory w Kolbuszowej Dolnej – red.]



Zdzisława Bytnar z Jankiem i Danutą na wakacjach, fot. ok. 1930 r.

i legendy greckie. Z całym zainteresowaniem czytał powieści Józefa Kraszewskiego.

Przyroda zaś była jego „konikiem”. Z matematyką, algebrą nie miał zbytnich trudności, traktował ją jako dobrą gimnastykę dla „szarej substancji”. Cenił sobie wielce książeczkę *Lilavati*², nad którą mozolnie ślezczał całe wieczory, wydzierając powoli tajemnice rachunkowe. Posiadał również zamiłowanie do nauki języków, wcześniej, bo od klasy trzeciej szkoły powszechnej zaczął się pilnie uczyć języka niemieckiego. Zdobywał szybko sprawność w tym języku, gdy zachodziła potrzeba, był wytrwały i uparty w działaniu³.

Pracowicie spędzał pierwsze trzy lata w gimnazjum – oprócz tego uprawiał sporty; pływał, jeździł na nartach, na łyżwach, grał w tenisa i jeździł na rowerze. Rower był ziszczeniem marzeń podróźniczych – niedzielne wędrowki całej rodziny rowerami

² Szczepan Jeleński, *Lilavati. Rozrywki matematyczne*, Poznań, ok. 1930.

³ W gimnazjum należał do klasy „francuskiej”. Prywatnie brał lekcje konwersacji, zaś w czasie okupacji uczył się zawzięcie j. angielskiego. Lekcji udzielała mu matka kolegi Andrzeja, p. Zawadowska w godz. 7.15–8 rano.

były znane w naszym bloku. Najpierw ojciec był przewodnikiem, potem już Jaś buszował po województwie z mapnikiem i ciągnął rodzinę po ciekawych uroczyskach. Włóczęgi te były jakby próbną lekcją do późniejszych wycieczek harcerskich. W ostatnim roku szkolnym 1938/39 uczęszczał na kurs przewodników Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

wiła, że poszukując atrakcyjnych zajęć, doskonalili się na tej drodze. Stąd narodził się impuls do pracy samokształceniowej, której nie porzucił do końca. Wśród potrzeb, jakie sobie postanowił rozpracować, dużo miejsca wyznaczył potrzebie sympatyzowania, określał to podejściem wychowawczym, które pozwalało mu jednać sobie najpierw kolegów, potem



Ilustracja Władysława Czarneckiego do rozdziału „Słoneczne dni”, książki A. Kamińskiego, *Kamienie na szaniec* (III wydanie krajowe)

W wieku 12–13 lat zarysowała się u Jasia wybitna wydajność społeczna. Dopracował się tej strony charakteru w trakcie stawiania klasie wysokich wymagań. Od siebie żądał pełnej doskonałości w każdej sprawie. Stale powiększał zasób wiadomości w zakresie ulubionej dziedziny. Zaczytywał się też zachłannie w powieściach fantastycznych i egzotycznych.

Dom i szkoła sprawiły, że drogą wzmocnienia dziecięcego entuzjazmu wydobyto z głębi jego duszy najszlachetniejsze uczucia. Wspólnie dążyliśmy do rozwoju tych sił duchowych, które zadecydowały o przyszłym jego życiu.

Miłość ojczyzny, poczucie pracy dla niej przeniknęły jego program życiowy. Harcerstwo poszerzyło te zadania. Praca w zastępie, potem w drużynie spr-

zaś zaprzęgać do wielkiej pracy społecznej. Z każdym rokiem wyznaczał sobie nowy program pracy, który konkretnie wyrażał się tym, co pozna nowego, czego się jeszcze nauczy, czego się dopracuje i co uczyni dodatkowo dla domu, dla bliskich i dla swej braci harcerskiej. Nie zaprzestawał gonitwy za dobrą książką, nie uznawał wiedzy „po łebkach”, gardził wąskimi, płytkimi wiadomościami, uznawał je za kalectwo życiowe. Emocjonował się szerokim nurtem i powtarzał w dzienniczkach niezmiennie następujący cytat: *Naturalnym przywilejem wiedzy jest nieskończone otwieranie.*

Służył całym życiem idei harcerskiej, uczucie to stało się ponad śmiercią. ■

Z. Bytnar

Zdzisława Bytnar

ARESztOWANIE JANA I STANISŁAWA BYTNARÓW 23 MARCA 1943 ROKU W WARSZAWIE

Byłam wówczas poza Warszawą, w majątku Motkowice k. Jędrzejowa, gdzie podjęłam nauczanie dzieci administratora p. Waława Wykowskiego, by wesprzeć dom w produkty żywnościowe, gdyż sytuacja materialna stawała się coraz trudniejsza. Przy końcu lutego odwiedził mnie mąż i powiadomił, że Jaś został ranny w akcji na Brackiej 23, przy ewakuacji wartościowego wyposażenia z mieszkania aresztowanych pp. Błońskich. W mieszkaniu znajdowały się ważne materiały natury wojskowej. Zmartwiłam się tym wielce i zaniepokoiłam, że Jaś, dowodząc dywersyjnym oddziałem „Sad”¹, narażony jest na wielkie niebezpieczeństwo. Ale przecież nie mogliśmy temu przeciwdziałać, bo sami uczestniczyliśmy też w walce z okupantem². 23 marca otrzymałam telefoniczne wezwanie od p. Bukowskiej, sąsiadki, bym natychmiast przyjechała i zgłosiła się zaraz bezpośrednio z dworca, do p. Dziedzicowej, na ul. Wiśniową 46. Wiadomością tą zostałam zelektryzowana i wiedzona instynktem przeczuwałam, że stało się jakieś nieszczęście. Pan Wykowski zrozumiał mój stan psychiczny, natychmiast pojechał do Jędrzejowa by u władz niemieckich wyjednać mi przepustkę i na przejazd do Warszawy i pozwolenie na przewóz 5 kg żywności. Pani Wykowska przygotowała mi trochę mąki, kaszy, bitą gąskę i osełkę masła. Pociąg odchodził późną nocą. Cały czas drżałam z niepokoju i snułam najrozmaitsze domysły, ale nie

chciałam dopuścić myśli, że może są aresztowani, tym bardziej, że nie telefonował nikt z mojej rodziny. Strach mnie opanował. W takim złym nastroju czekałam odjazdu, zdesperowana zupełnie.

Modliłam się tylko do Matki Bożej Częstochowskiej, prosząc Ją gorąco o ratunek i błagając, by mi ocaliła rodzinę i uchroniła od nieszczęścia. Jechałam w nabitym przedziale, pełnym szmuglerów, którzy z narażeniem też życia zaopatrywali głodującą Warszawę. Na stacji w Garbatce pociąg został obskoczony przez „bahnschutzów”, którzy każdy przedział ograbiali z przewożonej żywności. Moją kartkę „zezwolenie” potargali i zabrali walizkę z zawartością. Trudno opisać nastrój w wagonie po takiej rewizji, bo niektórym się też kolbą dostało. Z duszą na ramieniu dojechałam do Warszawy. Tylko z torebką w rękę przeszłam śmiało przez szpaler straży kolejowej, która czekała by znowu się obłowić. Przed dworcem wsiadłam w rikszę, bo do tramwaju ранego nie mogłam się dostać, zresztą byłam osłabiona po nieprzespanej nocy i udręczona różnymi przypuszczeniami. Zajechałam wprost na ulicę Wiśniową, do pp. Dziedziców, gdzie na pukanie otworzyła mi p. Janka i sposób w jaki mnie powitała, był już potwierdzeniem moich domysłów. Zalana łzami dowiedziałam się o aresztowaniu męża i syna. Za godzinę przysła Dusia też znękana okropną sytuacją, nie mogłyśmy nawet wysnuć radości, że ona szczęśliwie uratowała się, bo tej nocy nie było jej w domu, gdyż zasiedziała się u swej nauczycielki p. Naty Zadernowskiej a przed godziną policyjną zadzwoniła gdzie jest i podała adres. Rano zaś została ostrzeżona przez dozorczynię, która pilnie wtedy sprząta-

¹ Sabotaż i Dywersja.

² Prowadziliśmy tajne nauczanie, Dusia jako harcerka brała udział w robotach wawerskich, mieszkanie oddaliśmy na tajne komplety, na wykłady „Agrykoli”, na zebrania hufcowych i na składanie ślubowań.

ła przed bramą i nieznanymi chłopców zawracała, uprzedzając o wydarzeniu i założonym „kotle”. Dusia natychmiast zawiadomiła Tadeusza Zawadzkiego o aresztowaniu, który wstrząśnięty wydarzeniem, zaczął intensywnie działać, by ostrzec Jasia kontakty: zarządził pogotowie zbrojne z decyzją jego odbicia. Smutny fakt pogłębiła jeszcze wiadomość o dalszych aresztowaniach rodziny pp. Trzcinińskich (ojca, matkę i 2 córki) oraz pp. Zdanowiczów: ojca i syna a także przypadkowo tam przebywającego Stasia Bukowskiego, który przybiegł tam wieczorem, by ich uprzedzić o aresztowaniu Bytnarów. Widocznie sprawa była zbyt poważnie długo dyskutowana, skoro nie wrócił do domu, gdzie był naszym sąsiadem. Rodzice jego, wysiedleni z Poznańskiego (ojciec był starostą) zaprzyjaźnili się z nami, i na wieść o aresztowaniu zajęli się matką staruszką, posyłając jej pielęgniarkę z zastrzykiem, by tym sposobem spenetrowała sytuację w naszym mieszkaniu.

Wystraszona staruszka uspokoiła się nieco, widząc opiekę znanej z ofiarności p. Kazi Groniek, która mogła też zobaczyć gospodarujących Niemców, przewracających szuflady i nawet zeszedli do piwnicy, gdzie już nie było tajemnic, bo znaleźli oczywiste dowody dywersyjnej roboty Jasia. Dalsza wiadomość o tragedii, jaka rozegrała się w domu pp. Bukowskich. Jedyny syn, którego tak troskliwie strzegła matka, bo nie należał do żadnej organizacji i tylko w tajemnicy przed matką czasem udawał się z Dusią na akcje wawerskie – teraz wpadł w łapy gestapo, znając powiązania Jasia, odruchem serca pobiegł do pp. Zdanowiczów, by podzielić się z nimi smutnym wydarzeniem. Nie muszę opisywać rozpacz p. Bukowskiej, jej mąż nie przebywał w domu jako wysoce zaangażowany w konspirację, mieszkał poza Warszawą, w różnych miejscach, bojąc się rozpoznania, bo gestapo poznańskie śledziło dawnych aktywistów przedwojennych (aresztowanie Floriana Marciniaka).

Zaistniały dwa dramaty równocześnie, w sąsiedzkich, zaprzyjaźnionych mieszkaniach. Ale nie tylko, bo kiedy Dusia dotarła do mieszkania pp. Trzcinińskich, by zawiadomić ich córkę Marynę (sympatię Jasia), dowiedziała się o aresztowaniu całej rodziny – prócz syna Tytusa, który brał udział później w akcji pod Arsenalem, ale przezornie nie nocował w domu, lecz u sąsiadów, naliczyliśmy razem 9 osób aresztowanych, powiązanych kontaktami z Jasiem. Zatrwożyłam się o samą Dusię, że trzeba ją ukryć

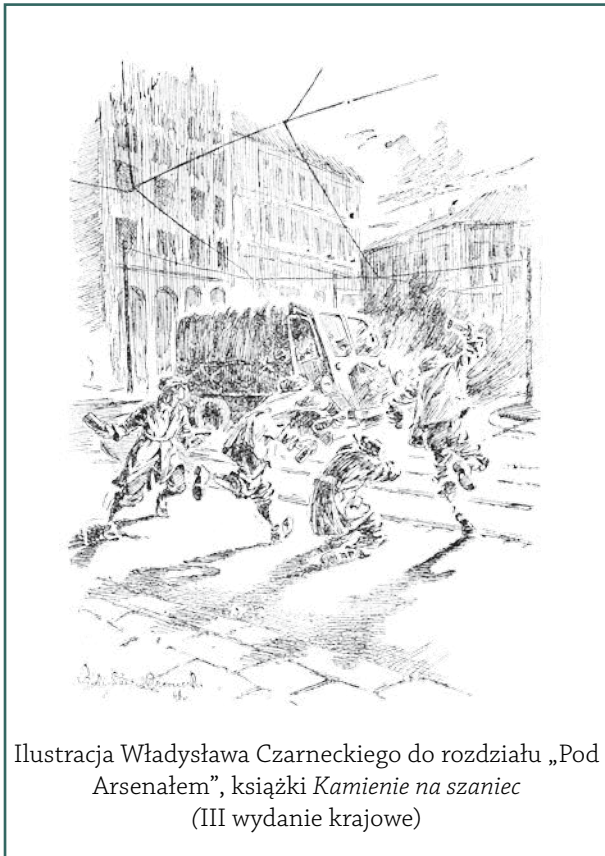


Ilustracja Władysława Czarneckiego do rozdziału „Pod Arsenalem”, książki *Kamienie na szaniec* (III wydanie krajowe)

jak najprędzej i dlatego pojechałam do mej serdecznej przyjaciółki Leokadii Frydrychowskiej, która niedawno opuściła z siostrzeńcem Pawiak, drogą interwencji jakiejś wysoko postawionej volksdeutschki – pomogła mi zaopiekować się Dusią, wysyłając ją do majątku swej koleżanki p. Kapuścińskiej w Bożej Woli k. Błonia.

Tego dnia wpadł Alek Dawidowski, by mnie przywitać, pocieszyć. Długo trzymał mnie zapłakaną w ramionach i szepnął: „że są przygotowania, by odbić Jasia”. Tylko trzymał palec przy ustach. Z jakim błyskiem w oczach pożegnał mnie i skakał po dwa schodki naraz z 3 piętra. Chciałam uwierzyć w cud, ale jakby na zapas błagałam, łkając, wszystkich świętych, klęcząc, modliłam się żarliwie. Tymczasem p. Janka Dziedzicowa przygotowała paczkę żywnościową zaadresowaną na Jasia i posłała swą siostrę p. Helenę Sukniewicz z nią na Pawiak, by miał znak opieki, a także był to dowód, że przebywa tam, bo ewidencja osób przez Niemców była ściśle prowadzona.

Pani Helena stała długo w kolejce na zimnie i wietrze marcowym, dając dowód wielkiej ofiarności dla sprawy naszej. Upływał już trzeci dzień. Przed południem przybył do mnie, przysłany przez Tadeusza Andrzej Długoszewski „Długi” z pozdrowieniem



Ilustracja Władysława Czarnieckiego do rozdziału „Pod Arsenalem”, książki *Kamienie na szaniec* (III wydanie krajowe)

i znowu z zapewnieniem, że z całą pewnością Jaś będzie odbity. Dziś wydaje się to wyjątkiem szczególnym, wyjawieniem tajemnicy przygotowań i mimo tego zapewnienia, nie byłam spokojna, toteż po jego odejściu dostałam silnej migreny, której nie zmożłam prozkami z „krzyżykiem” zlikwidować. Miałam też już dwa zwiastuny nadziei.

Moja obawa potęgowała się, bo przecież drżałam o życie mych najdroższych osób: Męża i Syna. Pełna żalu i wątpliwości, przeplatanych ufnością w Boże Miłosierdzie, leżałam jakby bez życia, ale ciągle budziłam się z odrętwienia, by znowu popadać w silniejszy rozstrój. Dochodziła godzina 20-ta, gdy weszło 4 chłopców w szaro-dużych okryciach, poznałam Wieśka Krajewskiego „Sema” i E. Kochera „Kołczana”, którzy mnie zawiadomili, że Jaś został odbity i prosi, bym przyszła zaraz na spotkanie. Wieść była oszałamiająca – ucałowałam „Sema” i „Kołczana”, szybko mi p. Janka narzuciła palto i wyszłam z domu pod opiekuńczą eskortą; dwóch szło naprzód, ja sama dalej, a za mną znowu dwóch podążało jako ubezpieczenie. Tak doszliśmy na ul. Kazimierzowską 15 – ja z bijącym sercem – do mieszkania prof. Gustawa Wuttke’go. W przedpokoju stali chłopcy, w kuchni też.

Z pokoju wyszedł Tadeusz ze strzykawką w rękę. Przywitał mnie i z miejsca czule przemówił: „Niech Pani nie płacze, niech będzie dzielna, dzielna, Janek jest bardzo zmęczony i słaby, potrzebuje tkliwego serca i zachęty”. Widząc mnie drżącą i chwiejącą się, zaaplikował mi dużą łyżkę jakiś kropli uspakajających i po chwili otworzył drzwi, wycofując się. Zostaliśmy sami – widok Jasia był okropny – pochyliłam się i pocałowałam go w usta, w policzki, pogłaskałam po głowie. Całą siłą woli, ze ściśniętym sercem patrzyłam na ślady katuszy: oczy sińcami podkrążone, usta opuchnięte, głowa ogolona z guzami krwawymi, twarz szara, cały w bandażach, przykryty kołdrą po szyję, tylko jedna ręka leżała na kołdrze też zabandażowana aż po palce i jeden tylko mały palec był wolny. Gdy go zapytałam (bezmyślnie) – co go boli? – poruszył ledwo tym małym palcem i powiedział: „ale Tatusia nie bili”. Patrzył na mnie bardzo smutnie.

Uspakajałam go jak mogłam, że już teraz wszystko będzie dobrze, wyjedziemy, nie martw się już – zapomnij o tym, jesteś już bezpieczny. Pożegnaliśmy się, bo wszedł Tadeusz, widocznie wizyta się przedłużała, a ktoś za drzwiami już czekał – pocałowałam go jak mogłam najczulej i od drzwi jeszcze posłałam mu pocałunek. Dopiero za drzwiami opadłam z sił. I znowu krople. Ale na tyle byłam przytomna, że wyjąkałam parę słów podziękowania za uwolnienia Jasia i życzyłam dalszych sukcesów. Pamiętam, że Tadeusz mówił mi o konieczności zmiany mieszkania i broń Boże powrotu na Aleję Niepodległości. Gdy wychodziłam znowu z ubezpieczeniem pod drzwiami czekało 3-ch mężczyzn byli to lekarze.

Nazajutrz miałam się przenieść na Żoliborz. Pani Dziedzicowa uspokoiła mnie wiadomością, że teściowa została pod opieką sąsiadów, którzy kolejno przysyłają jej posiłki, ale wciąż była zrozpaczona i zatrwożona o los aresztowanych. Wiedziała, że jestem w Warszawie, więc domagała się widzenia ze mną, które dopiero później mogłam zorganizować w kaplicy oo. Jezuitów na ulicy Rakowieckiej, gdzie ułatwiono mi rozmowę z matką męża. Opiekę nade mną przejął płk Stanisław Fromowicz, zaprzyjaźniony z naszym domem. Umieszczona zostałam u Jego synowej na Żoliborzu, przy ul. Krasińskiego. Jej mąż przeszedł przez Katyń, nazwisko Jego było wydrukowane w szmatławcu³ po odkryciu gro-

³ „Nowy Kurier Warszawski”.

bów pomordowanych oficerów polskich. Atmosfera była tu bardzo ciężka – byli na wyłącznym utrzymaniu pułkownika, który przed wojną, przechodząc na emeryturę, dostał jakiś majorat pruski, skromny majątek nadgraniczny, do którego musiał początkowo wiele inwestować, więc założył biuro-składnicę i sprowadzał z firm niemieckich maszyny rolnicze. W czasie okupacji działalność ustała, lecz pozornie kontynuowana, była doskonale zakonspirowaną placówką wojskową. Nie mogę żadną miarą przypomnieć sobie jego pseudonimu. Pani Maria Fromowiczowa miała dwoje dzieci: 11 letniego syna i 3 letnią córeczkę. Była rodowitą Francuzką i w warunkach okupacyjnych wydawała się bezradną. Postanowiłam uczyć chłopca, by miał zajęcie, a ja wypełniony czas innymi myślami. Smutno było i w tym domu, jedynie maleństwo szczebiotało, wymagało uśmiechu, pieścizot, a ja przez łyzy ożywiałam zabawki, by matka mogła odpocząć.

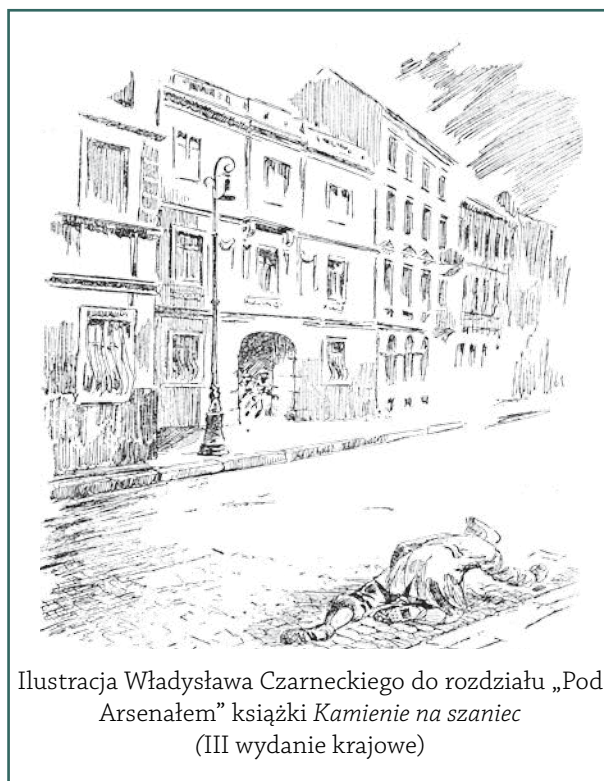
Po zainstalowaniu się, postanowiłam odwiedzić Jasia. Pojechałam o zmierzchu na Mokotów, dobrnęłam pieszo na ul. Kazimierzowską. Dzwoniłam, stukaliśmy, ale drzwi były zamknięte. Tylko dozorca zdenerwowany wyskoczył i ofuknął mnie ostro, dlaczego hałasuję, gdy nikogo w domu nie ma. Zawróciłam na ul. Senatorską, do biura pułkownika, czy nie ma wiadomości, co się z Jasiem dzieje. Przez swoje „łącza” dowiedział się, że Jasia musiano przenieść⁴ na ul. Kielecką gdyż uznano, że miejsce było zbyt rucho, co zauważył niedwuznacznie dozorca.

Następnego dnia wyruszyłam pod wskazany adres z jakąś mieszaniną ufności, wiary, ale też niepewności, czy zastanę Jasia w lepszym stanie zdrowia i dowiem się co mu potrzeba. Trafiłam na willę u wylotu ul. Rakowieckiej i już przy bramie ogrodzenia zobaczyłam wiszącą kłódkę. Można sobie wyobrazić moje zaskoczenie, mój stan psychiczny, bliski jakiegoś obłądnego pomieszania, nie mogłam odejść, szłam wzdłuż ogrodzenia i wpatrywałam się w okna, czy dojrzę jakieś ruch wewnątrz, czy może światło, bo się już dobrze zmierzchało. Ale nic. Poszłam więc dalej, aż do kaplicy oo. Jezuitów, by tam wypłakać się w modlitwie o pomoc i ratunek. Z ciężkim znowu bagażem myśli i strapieniem wielkim wróciłam na Senatorską, by przedstawić moją sytuację pułkownikowi. Zafrasował się on wielce,

w końcu znalazł jedną radę – dotrzeć do Tadeusza na Politechnikę. Tak też postanowiłam.

Pełna strachu i wewnętrznego lamentu nie mogłam zmrużyć oka. Wstałam więc rano, ale nie mogłam się zaraz wybrać w drogę, bo p. Fromowiczowa prosiła mnie o opiekę nad dziećmi, gdyż wybierała się do Śródmieścia, by zawieźć zamówione ciastka do „gospód”, które były zakonspirowanymi skrzynkami. Przekazywała tam biuletyny, dostarczone jej przez łączników teścia (pułkownika). Po jej powrocie dopiero wyjechałam. Na terenie Politechniki mieszkał p. prof. Zawadzki (wdowiec) z dziećmi. Ale w tym czasie przebywał w Zalesiu pod Warszawą, córka Hania mieszkała u ciotki na Filtrowej. Ze względu na zaangażowanie obydwójga, sam tylko Tadeusz przebywał w domu. Zadzwoeniłam do mieszkania, otworzyła mi Hanka i widząc mój tragiczny wygląd rzekła z ubolewaniem; ależ proszę Pani i Alek zmarł!” Dobiła mnie ta wiadomość, w oczach mi pociemniało, nie mogłam się ruszyć z miejsca. Dała mi czegoś się napić i mówiła i mówiła wciąż tylko o Tadeuszu, że się o niego bardzo boi, bo chodzi też zrozpaczony po stracie swych najbliższych przyjaciół: Janka i Alka.

Wzięła ode mnie adres i obiecała zawiadomić mnie o dalszych sprawach, gdy Tadeusz powróci, ale zarazem ostrzegła, że wszystkim nam grozi niebez-



Ilustracja Władysława Czarneckiego do rozdziału „Pod Arsenalem” książki *Kamienie na szaniec* (III wydanie krajowe)

⁴ Dosłownie przenieść w kocu.



Pierwotna mogiła Jana R. Bytnara „Rudego”,
pochowanego na cmentarzu Wojskowym
pod nazwiskiem „Jan Domański”, fot. 6 maja 1945 r.
Archiwum Harcerskie hm. Janusza Krężela

pieczeństwo rozpoznania, gdyż gestapo przejawiało wyjątkowe ruchliwość agentów (miała na myśli dal-
sze aresztowania, które nastąpiły po akcji). Mogłam
później się dowiedzieć że represje gestapo za Arsenał
były okropne, jak podano w „Biuletynie”, z Pawiaka
wybrano 150 mężczyzn i rozstrzelano. Przecież był
to pretekst tylko, bo codziennie wywożono do la-
sów Magdaleny, czy Palmir ofiary ich bestialstwa.
Poprzez łączników Tadeusza został pułkownik po-
wiadomiony szczegółowo, że Jaś został ostatecznie
przewieziony, staraniem Jasia Wuttke, do szpitala
Wolskiego, gdzie był otoczony opieką lekarską, ale
skutkiem wewnętrznych ciężkich obrażeń, nastąpiła
uremia i zmarł w otoczeniu najbliższych przyjaciół,
a szczególnie nie odstępował od jego łóżka Tadeusz,
aż do zgonu. Z pogrzebem były trudności, bo gesta-
po przerzucało po szpitalach listy zmarłych, prze-
szukiwało krypty kościołów, szukali śladów, by
pochwyć sprawców akcji, świadomi, że odbity „de-
likwent” był w stanie zejściowym.

Siedziałam przybita, do głębi przejęta ciosem,
jak tu żyć, czekać zbawienia dla Męża, i roztopić się
w bólu, że zgasło na zawsze słońce mego życia, jak
wytrwać w takim rozdarciu, jaki sens i jaką wartość

ma moje istnienie. Coraz następowała myślowa szar-
panina, a co teraz z mężem, czy zemsta i jego dosię-
gnię? Jak się zachować w takim położeniu, traciłam
zupełnie orientację, odcięta od domu, bez podstaw
egzystencji, raz po raz zanurzałam się w modlitwie
do Ducha Świętego, by mi dał jasność myśli, to zno-
wu do Matki Najświętszej się udawałam, by wstawi-
ła się za mną u Syna, prosząc o litość i miłosierdzie
i zlitowanie się nade mną, by mi zachował chociaż
umiłowanego nad życie męża. Ciągle szamotałam
się w niepokoju i obawie, a właściwie trudno mi było
pojąć, że nie pękło mi serce z żalu na wieść o śmierci
Jasia, bo tak było przepełnione goryczą. Dręczyłam
się, nawet nie chciałam uciszenia serca, by zaznać
choć trochę męki cierpienia.

Tyle strapięń naraz, co się dzieje ze staruszką –
matką, co z Dusią gdzieś na wygnaniu, modlitwa nie
przynosiła mi ulgi, rwała się, bo znowu myśli obses-
yjne napływały i lzy nie powstrzymywane zalewały
mi świadomość. Przez następny dzień oczekiwałam
wiadomości dotyczących pogrzebu. Dopiero 1 kwiet-
nia dowiedziałam się, że Jaś został przewieziony wie-
czorem do kościoła św. Józefata na Powązkach i że
następnego dnia odbędzie się pogrzeb. Wczesno

przygotowałam się do wzięcia udziału. Przyjechała po mnie p. Dziedzicowa, nie mogłam zahamować mego bólu, mej rozpacz, słałam się z osłabienia, wówczas zadziałał pułkownik, widząc mój stan, który nie rokował jakiegoś spokojnego przebiegu ceremonii. Z miejsca twardo orzekł, że nie mogę pojechać, tłumacząc mi, że ponoszą wielką odpowiedzialność za ludzi, którzy podjęli się tego „kospiracyjnego” pogrzebu. Nie mogę stwarzać dodatkowych trudności swą Osobą. Prosiłam, zaklinałam na klęczkach, błagałam, by mi pozwolili jechać, lecz znowu prawie, że rozkazując mi pozostanie, przypomniał mi, że mam przecież obowiązki wobec pozostałych członków rodziny. Zostawiono mnie znowu samą, pod opieką p. Fromowiczowej, nie rozumiałam jej słów pocieszenia i perswazji, że podobnie ona musi żyć (Katyń) dla rodziny, bo nie ma innego wyjścia.

Popołudniu przybyło 2 chłopców z zawiadomieniem, że zabiorą mnie o godzinie 17 na cmentarz. Nie pamiętam już, czy szłam, czy jechałam, bo piszę to wspomnienie po latach czterdziestu. Weszliśmy na cmentarz wojskowy wyrwą w bocznym murze (bo Niemcy zaanektowali już sobie frontową część cmentarza) i stanęłam przed samotną mogiłą zasłaną tylko gałązkami świerkowymi. Chłopcy zapali-

li świeczki. Za chwilę z różnych stron schodziła się wierna Jasiowi gromada „Sadu”, myślę, że byli to uczestnicy akcji. Ściśle otoczyli mogiłę i wtedy Tadeusz przemówił do nich, do mnie też się zwracał, ale nic nie zrozumiałam, coraz nogi uginały pod mną. Podparta byłam z dwu stron, a kiedy zbliżył się i pochylił do mych rąk, oddałam mu pocałunek.

Wówczas wszyscy powtórzyli przyrzeczenie pragnienia jeszcze większej Służby na pamięć ukochanego dowódcy. Po odśpiewaniu mormorando „Wszystko co nasze” w zwartym kole, powiązani splecionymi rękoma, pożegnali dzień pieśnią wieczorną „Słońce już, zeszło z gór”. Pochowany został pod przybranym nazwiskiem „Jan Domański”, nazwiskiem niezapomnianego „Zeusa”⁵.

Nie doznałam uciszenia, bo serce do śmierci boli. Pogrzebem zajęła się p. Wanda Opęchowska, wówczas wiceprzewodnicząca ZHP. Ona załatwiła przydział sporej działki na wojskowym cmentarzu w Warszawie, Tak powstało sanktuarium Batalionu „Zośki”, które zapoczątkowała mogiła Jasia, a dziś stoi tu las krzyży brzoźowych. ■

Z. Bytnar

⁵Drużynowy „Pomarańczarni”.

H I S T O R I A

Zdzisława Bytnar

WSPÓLNA MOGIŁA

Jaś i Alek spoczywają obok siebie na Cmentarzu Wojskowym w kwaterze harcerskiej, łączy ich wspólna mogiła. W burzliwych czasach okupacji spotykali się za każdym razem na stopie coraz większego zrozumienia i ściślejszego koleżeństwa. Ze wzrastającym uczuciem, z coraz gorętszym zapałem i energią grawitowali ku sobie, mając wiele do powiedzenia, omówienia i uzgodnienia. Wszak nie różnili się zasadniczo w zapatrywaniach i poglądach, lecz wycze-

kiwali tylko sposobności, by się spotkać i podzielić wzajemnie efektami swych prac – a właściwie wtedy, jak gdyby znowu odkrywali i utrwalali, w przyjaźni niepowседневnej.

Ubiegłe lata szkolne dały im podbudowę do tego zbliżenia, lecz dopiero teraz – w czasie okupacji – wspólne przebywanie, wspólna praca nad unicestwieniem (nękanie) wroga był przygotowaniem, do tego nowego, bliższego, trwałego związku. Każ-



Wspólna mogiła „Rudego” i „Alka”,
fot. Cezary Pręcerek

da bolesna wyrwa w ich przyjacielskim kole powodowała głębsze więzy, stawali się bardziej bliscy, bardziej potrzebni sobie. Jaś musiał się mieć na baczności, by nie zdradzić się ze swym uczuciem, wtedy, gdy Alek będąc „na przechowaniu” przepadał gdzieś dłużej i nie wracał. Wyraźnie smucił się Jaś, jakby wieloma rzeczami, gdy Alek opóźniał swój powrót.

Umysły ich były pełne spraw i nigdy nie było końca debatom w długie zimowe wieczory, odsłaniały im się wtedy pokrewne dusze i serca, wzrastały ich uczucia, potęgowała się troska o całość każdego z nich, snuła się głębia wzajemnego poznania, rozumienia szacunku... braterstwa. I jeden i drugi pełen był zagadek osobliwych o niezbadanej głębi uczuć, skomplikowanym i niepojętym dla siebie samego – a jednak dążyli różnymi drogami do tego samego ideału: dać z siebie maximum dla dobra Służby. Byli pod wieloma względami niepodobni do siebie, upodabniała ich wspólna idea i w ten sposób uzupełniali się. Ich siłą we wzajemnych stosunkach była tradycja cnót harcerskich. To był cement, który spiecał mocno te dwie bujne indywidualności, nastąpi-

ło wcześniej pełne zrozumienie, doskonała jedność ducha i działania.

Żaden z nich nie mógł żyć beznadziejnym dniem okupacyjnym, musieli więc się obaj odnaleźć w sile czynów. Wybiegali wspólnie – na przekór wielkim trudnościom, przeciw uciskowi hitlerowskiemu – postanowili rozluźnić obręcz męczeńskiej udręki. Jakże szczęśliwi byli, kiedy po burzliwej dyskusji nad metodą pracy, dogadywali się wspólnego języka i jeszcze sprawniejszych narzędzi do wykonania zadań. Po udanych doświadczeniach nie posiadali się z radości. Promieniowali w swym kole, rzucali coraz nowe iskry zapalające umysły, podawali odkrywcze myśli – nie wiedzieli może, jak głęboko wejrzeli sobie w dusze i wtopili mocno swe uczucia. Problem bliskich stosunków między nimi miał wielkie uznanie i szacunek, miał kolosalne znaczenie dla podejmowania konspiracyjnej pracy, – nawet gorące spory potrafiły ich wiązać, tym więcej doceniali swą przyjaźń, potrzebę wysokiej temperatury, gdyż w żarliwości takiej rodziła się konieczność codziennego korygowania swych obserwacji,

wymiany zdań, podjęcia nowego ważkiego przedsięwzięcia. Wydaje mi się, że doszli już do takiego stopnia braterstwa, że wyraz ten stale powtarzający się przy przekomarzaniach „ależ bracie”, był konsekwencją ich uczuć – myśli, wspólnych czynów.

Było to wynikiem narastającego zżywania, wśród odpowiedzialnej, niebezpiecznej każdej chwili pracy. Gdy Alek dowiedział się od Tadeusza, że Jaś został aresztowany razem z ojcem, że jest poddawany okrutnym torturom – pierwszy pobiegł do mnie ze współczuciem, pociechą i grozą, oznajmił mi, że uczynią wszystko, by go nie stracić, że trwają już przygotowania. Na drugi i trzeci dzień, 26 marca wczesnym rankiem, wpadł Alek z Andrzejem Długoszewskim prawie z meldunkiem, że są już gotowi..., by się nie załamywać, że są zdolni popełnić największe szaleństwo. Akcja pod Arsenalem dowiodła najwyższego heroizmu, stała się epopeją Szarych Szeregów. Jednego i tego samego dnia Jaś i Alek zakończyli życie.

Z pogrzebem było mnóstwo trudności. Gestapo węszyło, przeszukiwało kaplice cmentarne, chciało pochwytać w swe ręce śmiałków bohaterkiej akcji. Pochowani zostali z dala od siebie, trzeba było tak upozorować pogrzeby; Jaś na cmentarzu Wojskowym, a Alek na Powązkach. Później dopiero zrozumiano, że nie może pozostać taki rozdział uczuciowy, wszak na obu mogiłach odbywały się uroczyste obrzędy, przysięgi, rocznice... Bracia harcerska zmuszona była dzielić uroczystości na 2 etapy – by żadnemu z Nich nie brakło wyrazów pamięci. Stawali się symbolami, ołtarzem – miejscem legendy harcerskiej.

Mogiła Jasia zapoczątkowała kwaterę harcerską na cmentarzu Wojskowym. Kiedy była jeszcze pierwszą i osamotnioną, przyjaciel wielki naszego domu, p. Janina Dziedzicowa, „przyczyniła” ziemi na rabatę kwietną, poszerzając mogiłę na dzień imienin (6 V 1943). Gdy kopano już sąsiednią mogiłę, uszanowano tę nadwyżkę ziemi. Przybyły kolejne groby i krzyże harcerskie, przybył i Tadeusz Zawadzki, jako trzeci z rzędu – ale brakowało im przecież Alka. Trzeba było koniecznie w miarę narastania historii Szarych Szeregów, oceny faktów i nieśmiertelnego bohaterstwa Alka – dopełnić szeregu historycznych postaci, powiązać znowu harcerską klamrą tych, co przodowali legendzie i byli już na ustach historii zarejestrowani.

W jesienny dzień 1946 roku przenieśli towarzysze trumnę Alka i pochowali obok Jasia pod kwietną rabatą. Na wspólnej teraz mogile wyrosły dwa krzyże brzożowe. Pogrzeb był nową manifestacją, uczestniczyła w niej ocalała reszta towarzyszy dawnych, którzy mieli za sobą... Powstanie Warszawskie, ruiny Warszawy, skoszone śmiercią bohaterką szeregi harcerskie.

Spoczywają razem... niedawno jeszcze wyruszyli po nowe „przygody” w okresie najcięższych mroków okupacyjnych. Działali harmonijnie w imię szczytnej pojętej służby dla Ojczyzny... Jaś i Alek i Tadeusz przydali historii harcerskiej nowe wartości w służbie braterstwa, w służbie wzniosłej Sprawy, w walce o wyzwolenie Ojczyzny. ■

Z. Bytnar



Kwatera Szarych Szeregów na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, fot. Cezary Pręcerek

Janusz Krężel

ZAMYŚLENIE NAD NOWYM WYDANIEM „KAMIENI NA SZANIEC”

W księgarniach na terenie kraju ukazało się niedawno kolejne wydanie *Kamieni na szaniec* hm. Aleksandra Kamińskiego, ps. „Kamyk”. Książka została wydana skromnie pod względem edytorskim, wzbogacona jednak cennymi zdjęciami bohaterów Szarych Szeregów.

Po raz pierwszy w historii wydawniczej tej książki, nie wiedzieć dlaczego i po co, na okładce, miast tradycyjnego znaku kotwicy Polski Walczącej, o głębokiej wymowie ideowej, zamieszczono fotografie aktorów i aktorek grających w filmie „Kamienie na szaniec” reż. Roberta Glińskiego. Wyparli oni z okładki realnych bohaterów *Kamieni...*, trady-

cyjnie umieszczanych w licznych poprzednich wydaniach. To bardzo smutne, a nawet porażające przedsięwzięcie, bo przecież książka Kamińskiego to dokument, którego nie można dowolnie zmieniać, trywializując i upraszczając zawarte tam ponadczasowe wartości. Zamieszczenie zdjęć aktorów grających w filmie obniża diametralnie wartości, które krzepiły naród polski w okresie okupacyjnej nocy – „czasach bohaterstwa i grozy”. Nie można o tym zapominać, jak nie można zaakceptować ten merkantylny zabieg wydawnictwa, wznawiającego dziś tę „biblię” Szarych Szeregów. I co niemniej bolesne: wśród haseł ideowych i uczuciowych, zamieszczonych na okładce: Przyjaźń, Młodość, Wolność – zabrakło tego najważniejszego pojęcia: Służba, która dla Szarych Szeregów i bohaterów *Kamieni...* była ideową spuścizną... ojców.

Jako reakcja na pierwsze niepokojące sygnały na temat filmu R. Glińskiego, na Facebooku zawiązała się inicjatywa pod znanym z książki hasłem: „Tylko świnię siedzą w kinie”. Po jakimś czasie okazało się, że jednak należy zobaczyć film, aby wyrobić sobie własne zdanie. Jeden z instruktorów hufca ZHP w Tarnowie, hm. Cezary Pręcerek, zainicjował na tymże Facebooku akcję: „Cała Polska czyta *Kamienie na szaniec*”. Jej dzisiejszy efekt to: ok. 33 tys. zainteresowanych internautów oraz blisko 6 000 osób, które zdecydowały się poprzeć to wydarzenie. W drużynach i hufcach całej Polski rozpoczęło się wielkie czytanie *Kamieni...* – w proteście! W zdrowym proteście! I tylko szkoda, że wraz z tak bogatym aparatem wiedzy, książka ta promuje, poprzez kolorową okładkę i wkładkę zdjęciową, ten kiepski film.

Dodajmy na zakończenie naszej zadumy nad tym nowym wydaniem *Kamieni...*, że nie kto inny, tylko A. Kamiński ocalił dla przyszłych pokoleń świat



Okładka książki A. Kamińskiego,
Kamienie na szaniec, Warszawa 2014

wartości uniwersalnych jak: Przyjaźń, Wierność, Służbę, które to wartości określały działalność Szarych Szeregów i wciąż są żywe dla naszego narodu. Tych wartości nie trzeba poprawiać i zmieniać, zwłaszcza w obecnych nieprzewidywalnych czasach.

W książce tekst Wojciecha Feleszki, nadto tekst dr Ewy Hoffman-Piotrowskiej, wstęp napisała Barbara Wachowicz. Przepisy: prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz. ■

J. Krężel

Marek Popiel

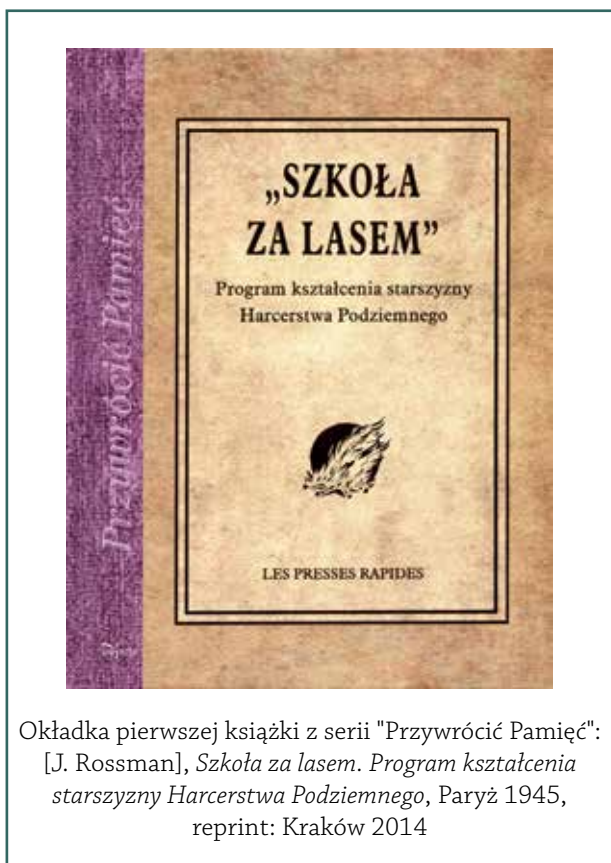
„SZKOŁA ZA LASEM. PROGRAM KSZTAŁCENIA STARSZYZNY HARCERSTWA PODZIEMNEGO”

Bardzo ogólny program szkolenia instruktorów „Szarych Szeregów” na poziomie stopnia podharcmistra, opracował na przełomie 1941 i 1942 roku hm. Leon Marszałek. Zarys ten, rozwinął oraz zastosował w praktyce hm. Jan Rossman ps. „Wacek”,

tworząc program „Za lasem”. Był to niezwykle efektywny, jak się później okazało, kurs dla instruktorów, którego podstawą było zaufanie oraz bardzo osobista więź zadzierzgnięta pomiędzy kursantem a instruktorem szkolącym. Kurs trwał łącznie tylko półtorej doby, ale były to godziny niezwykle skutecznie wykorzystane do uporządkowania wiedzy i umiejętności harcerskich kursanta.

Grupa wyjeżdżająca do Zalesia, gdzie w okolicznych lasach odbywała się znaczna część zajęć dla przyszłych podharcistrzów Warszawskiej Chorągwi „Szarych Szeregów”, nie mogła liczyć więcej niż pięć osób. W pierwszej grupie kursantów, w kwietniu 1942 roku, krótkie przeszkolenie odbył Jan Bytnar „Rudy”.

„Szkoła za lasem” – z czasem taka nazwa (od miejscowości Zalesie Dolne) przyłgnęła dla kursu kształcenia starszyny Szarych Szeregów – działała do wybuchu Powstania Warszawskiego. Według tego programu wyszkolonych zostało we wszystkich chorągwiach 259 podharcistrzów. Tekst J. Rossmana dotarł w lecie 1944 roku, w formie mikrofilmu, poprzez Jerzego Lerskiego ps. „Jur”, kuriera Rządu RP na uchodźstwie, do Londynu. Dostęp do tych materiałów miał Henryk Kapiszewski, który zabrał je w 1945 roku do wyzwolonej spod okupacji niemieckiej Francji, gdzie spotkał się z Janem Rossmanem. Po korekturze i opracowaniu tekstu,



Okładka pierwszej książki z serii "Przywrócić Pamięć":
[J. Rossman], *Szkoła za lasem. Program kształcenia starszyny Harcerstwa Podziemnego*, Paryż 1945, reprint: Kraków 2014

jesienią 1945 roku ukazała się w Paryżu, w wydawnictwie „Les Presses Rapides”, niewielka broszura pt. *Szkoła za lasem. Program kształcenia starszyny Harcerstwa Podziemnego*.

Program opracowany przez J. Rossmana i zawarty w książce *Szkoła za lasem* jest prosty, klarowny, świetnie przemyślany. Stanowić może materiał do współczesnej debaty o postawach i charakterach instruktorów-przewodników – przyszłych podharcistrzów. Jego skuteczność pokazała pokaźna ilość nominacji podharcistrzowskich. Większość z tych instruktorów stanęła na pierwszej linii walki z wrogiem, nie zapominając o wychowawczym aspekcie swojego stopnia. Ogromny zaciąg w szeregi harcer-

skie, tuż po zakończeniu działań wojennych w Polsce oraz w tych krajach, gdzie znaleźli się Polacy, m.in. w Niemczech, Francji, Belgii i Wielkiej Brytanii, potwierdza wysoką jakość szkolenia oraz patriotycznych postaw młodzieży. Być może lektura tej książki sprawi, że zostanie powtórzony jej sukces i dzisiaj.

Kilka tygodni temu, wydawnictwo „Impuls” z Krakowa, wydało reprint broszury Jana Rossmana, będącej częścią większego projektu pt. „Przywrócić Pamięć”, o którym dalej pisze Wojciech Śliwerski.

Konieczność ukazania proveniencji tej broszury wynika z faktu, że w Internecie pojawiły się informacje wskazujące Stanisława Sedlaczka jako jej autora. ■

M. Popiel

B I B L I O G R A F I A

Wojciech Śliwerski

SERIA WYDAWNICZA – PRZYWRÓCIĆ PAMIĘĆ –

Seria wydawnicza „Przywrócić Pamięć” ma przybliżyć współczesnemu społeczeństwu publikacje założycieli ruchu skautowego, twórców rozwoju idei i metodyki harcerskiej z lat 1911–1939.

To książki zakazane po 1945 roku, wycofywane z bibliotek i niszczone przez komunistyczne władze PRL. Nazwiska autorów, ich twórczość, były wymazywane przez cenzurę i niedostępne dla kolejnych pokoleń młodzieży, instruktorów harcerskich, wychowawców, pracowników naukowych. Władze harcerskie w socjalistycznym państwie dokładały wszelkich starań, by odciąć harcerstwo od historii i wpływów idei skautowej oraz by z inspiracji partii, nadać mu formę pionierskiej organizacji. Ideologia urzędowa w historii harcerstwa wpraw gorączkowo poszukiwała „postępowych tradycji”, a następnie z jeszcze większym zaangażowaniem legitymizowała każdy taki skrawek narodowej historii. Ten przekaz

historyczny lepszego, nowego, socjalistycznego harcerstwa wzmacniały ówczesne publikacje.

Solidarnościowy zryw społeczny lat osiemdziesiątych minionego stulecia, porozumienia Okrągłego Stołu, odzyskanie wolności po 1989 roku umożliwiły odrodzenie ruchu harcerskiego, sięgnięcie do jego źródeł, historii i tradycji.

Coraz więcej jest prac poświęconych harcerstwu. Nadal jednak brakuje wznowień źródłowych publikacji, które w latach 1911–1939 miały wpływ na rozwój idei harcerskiej i organizacji, kształtowanie postaw harcerskich i kształcenie kadry instruktorskiej oraz społeczny wizerunek ZHP. Warto je przypomnieć, ponieważ wszystko, cokolwiek myślimy i czynimy, ma swoje bezpośrednie lub pośrednie, pozytywne lub negatywne, uświadamiane lub nie, źródła w tym, co myśleli i czynili nasi poprzednicy. ■

W. Śliwerski